№ 19.

Warszawa dnia 30 Kwietnia / 12 Maja r. 1866.

TYGODNIK MÓD i NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

PAMIĘTNIK NAUKOWY

WYDAWANY I REDAGOWANY

PRZEZ

Dr. Karola Gregorowicza.

Wszelkie określenia godności nauki, jéj pożytku i wpływu na ogólne dobro, są to rzeczy tak znane i oklepane, że wystąpowanie z jakiemkolwiek zdaniem w tym przedmiocie, choćby najmniejszem zdaje się być nie tylko zbytecznem, ale nudnem i niemal rażącem. Któż nie wie, że nauka jest potęgą przed którą wszystkie inne siły ludzkie gną się jak wosk i w proch rozsypują? Kto nie zgadza się, że nauka daje byt, szczęście, pomyślność, bogactwo, bo podbijając świat materji w sercach ludzi rozwija wszystko co zacne, szlachetne i wzniosłe uczłowiecza ich, namiętności pokorzy i skłania do czynów wprawdzie ograniczonych ziemskością, zawsze jednak promieniejących myślą Bożą i do Boga wiodących.

Otóż każdy to zna, wszyscy zgadzają się na podobne określenie, książki brzmią pochwałą nauki, autorowie w imieniu jéj przemawiają, wydawcy dla niéj nie szczędzą starań, trudów, kosztów i t. d., w imieniu także oświaty powstają nowe pisma perjodyczne, stare każdą szpaltę lukrują frazesem o naukę zawadzającym, dla oświaty obniżają ceny książek, wychwalają szkółki, nad ciemnicą roztkliwiają się, słowem *dobro ogółu* i *nauka*, brzmią w ustach wszystkich. Są to jednak tylko słowa, wyborny temat dla popisu i deklamacji.

W ostatnich np. czasach, powstało u nas nowych kilkanaście pism perjodycznych, oprócz kilku specjalnych jeden tylko Pamiętnik Dra Gregorowicza wystąpił z programem czysto naukowym. Przy tak małym rozwoju nauki, sądzićby należało, że myśl tak zacna, natchniona nie widokami zysku, bo któż go u nas na tem polu szukać może? nie tylko zyska uznanie, ale wsparcie, pomoc, zachętę i wskazówki, jak się ma rozwijać, jakiéj trzymać drogi, a czego unikać żeby zamiary swoje jak najlepiéj urzeczywistniła. Słowem zdawało się, że Pamiętnik naukowy, przez prassę perjodyczną wzięty zostanie w opiekę, ze współczuciem, z wyrozumiałością, odpowiednią i celowi w jakim powstałi tym licznym przemawianiom za potrzebą nauki i oświaty.

Tymczasem zupełnie stało się przeciwnie, bo oto już czwarty tom mamy tego pożytecznego wydawnictwa, a pisma perjodyczne żadnéj o niem nie uczyniły wzmianki. Czyżby w tym zbiorze czterotomowym, nic nie mieściło się godnego podniesienia i obszerniejszego sumiennego rozbioru? Jeżeli znalazłyby się jakie usterki dla czegóż krytyka światła i sumienna nie wytknęła je? Raz tylko odezwała się.. przy ogłoszeniu prospektu, ale była to napaść, gniew człowieka, że ktoś bez niego ośmiela się myśleć o nauce, o zachęcie nie wybąkano ani jednego słowa, choć nie szczędzono jéj dla pism przedsiebranych tylko w interesie spekulacyjnym. Jeden tylko Kurjer Codzienny stanowi tu wyjątek, on jeden tylko pojął ważność téj publikacji, i wystąpił z obszernem pierwszego tomu sprawozdaniem.

Niepodobna jest Tygodnikowi Mód, wdawać się w obszerną ocenę pracy tak poważnéj i trwalsze mającéj znaczenie, ograniczamy się więc na streszczeniu niektórych artykułów, aby Czytelniczki same mogły osądzić wartość pisma i powziąść o niem dokładne wyobrażenie. Zaczynamy od tomu pierwszego.

W artykule p. t. *O uczuciu i religijnych wyobrażeniach*, autor powiada, że w bałwochwalczym Rzymie, w wyrazie religja widziano cześć oddawaną najwyższéj przyrodzie, albo raczéj naukę wszystkiego co się czci dotyczy. Po części więc znaczenie tego wyrazu, było materjalne i religja u Rzymian nie była potrzebą serca, ale nauką form, zewnętrzną praktyką

a nie głębokiem uczuciem, jakiem przeniknięty jest człowiek. Z tych to powodów ojcowie kościoła religją wywodzili od słowa *religare* łączyć i mówili, że religja jest łącznią jednoczącą nas z Bogiem. Być religijnym, znaczy szukać Boga i konieczną potrzebą złączenia się z Nim, człowiek ta słaba i bez nadziei istota, za powodem religji, staje się dzieckiem Bożem i obrazem Jego podobieństwa. Człowiek bez religji całkiem jest oddany interesom ziemskim, nie zna nic nad byt ziemski, nic nie przeczuwa i niczego innego nie pożąda. Owładnięty cielesnością do niéj odnosi wszystko, żyje jak zwierzę, o nic nie dbając jak tylko o zaspokojenie swoich materjalnych potrzeb. Przeciwnie zaś człowiek religijny, uznaje wolę Boga, korzy się przed nią, dusza wznosi się ku Bogu i z usilnością szuka Go wszędzie, ażeby w miłości i podległości mógł się z Nim zjednoczyć.

Daléj autor dowodzi że religja nie jest łącznią Twórcy ze stworzeniem wymarzoną w naszéj słabości, ale jest nią w rzeczywistości, ona łączy wolę pojedyńczą z prawem powszechnem i jest warunkiem powszechnéj harmonji. Uczucie objawia człowiekowi całą doskonałość Boga, i uczy że nie można Mu podobać się bez osobistego doskonalenia się. Religja zatem nie jest zewnątrz nas, ale wewnątrz i jest wynikiem wewnętrznego w nas objawienia. Bóg jednak dopiero wtedy zamieszkał w świątyni, kiedy uczucie rozwinęło o Nim pojęcie w sercach śmiertelników. Że zaś rozwój uczucia jest bez granic, uwielbianie więc Boga w samem tylko sercu, w prędce stało się dla człowieka nie wystarczającem, więc przeszło do świata zewnętrznego i przybrało formy podpadające pod zmysły. To dało początek czci, z czego wyrodziły się, modlitwy, ceremonje i różne formułki i pobożne praktyki.

W miarę zaś jak człowiek uginał się pod przewagą zmysłów i poddał się panowaniu nad sobą materji rozważając cuda natury i jéj uderzające potęgi, z pomięszania skutków z główną ich przyczyną, człowiek rozdrobnił jedność Boską i zaczął oddawać cześć wszystkim czynnikom ożywiającym stworzenie. Ztąd wyrodziło się różnorodne bałwochwalstwo, poganizm i mytologja bogów i półbogów. W różnych jednak epokach, zjawiali się ludzie wyżsi, wspierani zachowaną w tradycji religją pierwotnéj czystości, którzy ożywieni żywszą wiarą doprowadzającą ich do stanu natchnienia, wykazywali braciom swym ich zbłąkanie się, a ci uderzeni potęgą tych ludzi, przyjmowali naukę ich za objawienie Boże i z tego wyradzały się religje twierdzące (pozytywne) ugruntowane na władzy, a nie na uczuciu każdéj jednostki, religje szczególne i narodowe, zupełnie między sobą odrębne. Przyrodzona jednak religja nie wielkiéj uległa zmianie, z niéj wyrodziły się wszystkie, co mają w sobie wspólnego to z niéj pochodzi, a co je rozdziela między sobą, to jest dziełem późniejszem, wynikającem z historycznego i politycznego rozwoju różnych ludów.

Daléj autor mówiąc o dogmatach, powiada, że te są późniejszym historycznym rozwojem, dopełniającym się biegiem wieków, a w miarę jak się dogmatyka oddala od swego źródła, staje się uczeńszą, subtelniejszą, że godzi się twierdzić, iż historja dogmatów jest historją ludzkiego ducha, będąc zarazem zbiorem najsmutniejszych błędów i najwznioślejszych pojęć.

Przechodząc następnie do przesądu i zabobonu, powiada autor, żete są ślepą, nierozumną miarą w pewne religijne praktyki, obce zupełnie istocie religji, że zatracając wszystko co jest prawdziwym przedmiotem religji, prawie zawsze sprowadzają fanatyzm, ów religijny szał, pozbawiający człowieka rozumu, a skłaniający go do karogodnych czynów, jakoby miłych Bogu. Fanatyzm jest chorobą moralną, pewnym rodzajem szaleństwa, i bywa bardzo zaraźliwym. Jeżeli gdzie w jakiéj społeczności zakorzeni się, często przybiera powagę zasady. Początków krwiożerczéj inkwizycji i religijnych wojen, szukać należy w fanatyzmie. Żeby być fanatykiem, trzeba być koniecznie przesądnym, do czego usposabia ciemnota w połączeniu z żywą i bujną wyobraźnią. Najgodziwszym środkiem nawracania jest przekonanie, a najświętszem naszem prawem, swoboda religijna.

W artykule, *Pogląd historyczny na początki nowożytnego prawa cywilnego w Europie*, autor wziął sobie za zadanie rozjaśnić za pomocą przeszłości, teraźniejszość kodeksów cywilnych Europy, uwydatnić familijne rysy jakie je cechują i rzucić nowe światło na szczególności, odznaczające te kodeksa a stanowiące właściwie każdemu prawodawstwu życie, wyrób różnych narodowości, obyczajów i przeznaczeń politycznych. Wielką rodzinę europejską dzieli autor na cztery szczepy, romański, germański, skandynawski i słowiański i przebiega je szczegółowo, wykazując wzajemne na siebie wpływy, które najjaśniéj przedstawiają się w prawodawstwie. O szczepie słowiańskim oddzielna rozprawa uczonego W. A. Maciejowskiego, pomieszczoną została w tomie III, w któréj autor dowodzi, że Germanie najbliżsi sąsiedzi nasi, mając rząd kraju taki, który był na czasie, instytucje nasze łatwo sobie przyswajali i potem przeobrażając po swojemu jak prawo magdeburgskie, chełmińskie i t. d. na nowo nas niemi obdarzali. Ztąd powstało błędne mniemanie o początkach niemieckiego prawa, jego duchu, rozwoju i o wpływie jego na prawodawstwo słowiańskie.

W rozprawie: *O zmianie naukowych systematów*, autor we wstępie powiada:—wielką oddałby ten przysługę ogólnéj oświacie, ktoby wypracował dzieło, wykazujące wpływ nauk przyrodzonych, na rozwój wszechstronnego postępu i brak jego zupełny w tych narodach, w których nauki przyrodzone są zupełnie zaniedbane. Jeżeli bowiem społeczna szczęśliwość wynika z nauk, to wśród nich nauki przyrodzone niezmiernie ważne zajmują stanowisko. One to zapoznawają ludzi z wszechmocnością Boga, mieszczącego się we wszystkich szczegółach widomego świata. Za ich pomocą badawczy umysł człowieka wnika w tajemnice wszystkiego co istnieje, a wykazując doskonałość rzeczy stworzonych, naprowadzają ludzi na drogę praktycznego postępu, odsłaniając wielki majestat przyrody, w stanie takim, w jakim ją chciała mieć wszechmocna wola Boża. Bez gruntownéj znajomości nauk przyrodzonych, ludzkość pozbawioną byłaby wszelkich wynalazków i odkryć, a nadto, nauki przyrodzone mają jeszcze tę wyższość nad wielu naukami, że niezmiernie oświecają przyrodzony umysł ludzki i rozbudzają w ludziach ciekawość, naprowadzającą na drogi dociekań i badań. Tą szlachetną ciekawością nieustannie podniecany umysł człowieka,

wznosi się nad wszelkie stworzenie i staje na najwyższym szczeblu doskonałości, a rozjaśniając tajemnice przyrody, jest jéj ziemskim opiekunem i prawnym posiadaczem.

Następnie przebiega autor dzieje historji naturalnéj, od pierwszego jéj twórcy Arystotelesa żyjącego na 354 lat przed Chrystusem, aż do naszych czasów, wykazując niezmordowaną prace uczonych, mozolne trudy, ciągłe badania i postęp nauki, wymagający także ciągłego nim zajmowania się, jeżeli chcemy nauki przyrodzone otrząsnąć u nas z zaniedbania i przygotować nowe książki szkolne, nie tchnące daleką staroświecczyzną, tem samem korzystać jak należy z dwudziestu dwóch wieków badań natury, we wszystkich stronach świata dokonywanych.

W drugim tomie Pamiętnika, autor rozwija uwagi nad złym dotychczasowym wykładem u nas Zoologji i podaje sposoby nowe już używane w zagranicznych szkołach, które nie tylko, dzielnie wspomagają pamięć, ale niezmiernie obudzają zamiłowanie saméj nauki. Żałujemy mocno, że dla obszerności przedmiotu części téj z rozprawy nie możemy przedrukować, zalecamy ją jednak szczególniéj młodym nauczycielkom. Przez nie, może systemat polecany rozwinie się na obszerniejszą skalę.

Daléj mieści się wyjątek z niedrukowanego dziełka p. t. *Myśl o wychowaniu niewiast*, obejmujący *Ogólne zasady wychowania niewiast. Życie Tomasza Moora* stanowiącego przejście od Walter Skota do Byrona. Przegląd dziełka w Brunszwiku p. t. *Dusza i ciało. Odę Horacjusza. Szczegóły o instynkcie zwierząt. O astronomji u starożytnych ludów Ameryki i o meksykańskim zodjaku* i t. d.

Z pobieżnego tego przeglądu pierwszego tomu, łatwo ocenić ważność i dążność Pamiętnika naukowego. O trudnościach redagowania go nie ma potrzeby wspominać, znają je wszyscy ludzie dobréj woli i pragnący nie deklamacjami dowodzić miłości nauki i własnéj społeczności. Gromadzące się przy Pamiętniku nowe kółko pracowników, robi nam nadzieję coraz lepszego jego rozwoju, czego życzemy całem sercem. O następnych tomach powiemy w dalszych numerach.

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Jeden z tutejszych dzienników, w sposób niezmiernie śpilkujący, przedstawił żywot deputowanych francuzkich, w obrazku dosyć ponętnym, a jednak na nieszczęście bardzo prawdziwym.

Pani X. powiada, piękna Normandka poślubiła jednego z deputowanych południowéj Francji. Umiejąc oceniać wysoki zaszczyt jaki spotkał jéj męża, starała się wszelkiemi sposobami zastosować własne postępowanie do tak wysokiego dostojeństwa. Ponieważ pan Walewski jest prezesem izby, ułożyła więc pani X. w pięknéj swéj główce, że pani Walewska nie tylko jest żoną prezesa, ale prezesową wszystkich żon deputowanych, ich córek a nawet kuzynek najdalszego stopnia. Skutkiem tego pani X. nie nazywała inaczéj pani Walewskiéj, tylko swoją prezesową i prezesową dwóch swoich małych córeczek i milutkiéj niezmiernie kuzyneczki, którą znowu pan X za często może nazywał także prezesową.

Pewnego wieczora w salonie elegancko umeblowanym przy bulwarze Malesherbes, pani X. miała wielką ochotę rozwieść się obszernie o izbie francuzkiéj, o zaufaniu jakie mąż pozyskał w południowéj Francji i o świeżo zyskanem dostojeństwie, do którego powołanym został zaufaniem współobywateli. Korzystając więc z pierwszéj chwili ogólnego milczenia, odezwała się słodziutkim melancholicznym tonem:

— „Kochana moja prezesowa, prześliczna hrabina, posiada w najwyższym stopniu talent zabawiania u siebie gości. Każdy bowiem jest przekonany, że tylko wyłącznie nim się zajmuje, gdy rzeczywiście zajęta jest wszystkiemi nie oddając widocznego pierwszeństwa nikomu. Prawdziwa to czarodziejka z téj mojéj prezesowéj, zupełnie podobna do portretu, którego malowane oczy zdają się patrzeć na wszystkich.

W téj chwili wszedł do salonu jeden z urzędników wyższych jakiejś ambasady i po wyrażeniu kilku słów ugrzecznionych zapytał panią X. o męża.

— „Mój mąż jest zdrów, przynajmniéj tak mniemam“ — odrzekła pani X. cokolwiek niezadowolona z przerwy: wprawdzie nie widziałam go pięć dni, ale co do téj okoliczności codziennie odbieram dokładne od służby raporta.

— „O ile wiem, to przez cały czas posiedzeń ciała prawodawczego nie opuszczał Paryża zupełnie. Z mężem widuję się raz tylko na tydzień, w niedzielę, a czasami tylko spotykam się niespodzianie w jakiem towarzystwie np. we Wtorek u pani Walewskiéj mojéj prezesowéj.

— „Czy podobna! — zawołał urzędnik — „aby mężowie naśladowali pisma tygodniowe, pokazujące się raz na tydzień i to najczęściéj w niedzielę?

— „To zupełnie naturalne i zupełnie nie zadziwiające. Mąż mój tak jest zajęty ważnością swoich obowiązków, że nawet nie miał czasu osobiście opisać jak dnie teraz przepędza. Służący jego opowiedział to mojéj pokojówce i od niej mam szczegóły, z któremi się chętnie z panem podzielę. Najprzód biedaczek obudziwszy się bardzo rano, bo o dziewiątéj już jest na nogach, czyta od deski do deski Monitora.....“

— „Monitora! a to dla czego?

— „Żeby się dowiedzieć co było mówione dnia poprzedniego na posiedzeniu ciała prawodawczego.

— „Więc mąż pani choć deputowany, nie bywa na tych posiedzeniach?

— „Przeciwnie nie opuścił żadnéj sesji, ale zwykle deputowani mówią tak cicho, że nie można dosłyszeć ani jednego wyrazu.

— „Czy wszyscy są suchotnicy?

— „Ale gdzie tam, nie jeden obdarzony jest budową niemal herkulesową, a wielu ma głos podobny do trąb Izraelitów, od dźwięku których w proch się rozsypywały mury Jerycho. Mówią jednak dla tego tak cicho, że słowa jakie wygłaszają nie są przeznaczone dla obradujących tylko dla tych, którzy ich wybrali, a te wiernie spisują stenografowie. Mąż więc mój czyta Monitora, żeby się dowiedzieć o czem w izbie rozprawiano.

— „Ważna przyczyna i zupełnie przekonywująca“ — odrzekł urzędnik chyląc z uszanowaniem głowę.

— „Po odczytaniu Monitora, mąż mój przegląda ważniejsze dzienniki, a potem odczytuje listy, które są prawdziwą plagą każdego deputowanego. Bo tylko zważ pan, z dwudziestu dziewięciu tysięcy osób, jakie głosami swemi obdarzyły mego męża, każda choć jednę ma prośbę, która zakopertowana w kształcie listu dostaje się do rąk jego. To znaczy trzysta listów dziennie a do tego jakich..... Miałam cierpliwość odczytać kilka, wszystkie kończą się jednem wyrażeniem mniéj więcéj w tych słowach: Panie! jedno słowo twoje przychylne, zrobi to o co proszę. Błagam cię więc o to słowo, a wdzięczność moja będzie bez granic".

Ale z czytaniem pół biedy, gorsza męka z odpisywaniem, w którem najmniejsza zwłoka sprowadza list powtórny już natarczywszy. Jeden z takich mam właśnie przy sobie, dla próbki pozwolisz pan że go odczytam......

„Z największą przyjemnością."

Panie Deputowany!

Ośmielam się przypomnieć list mój poprzedni, który dotąd został bez odpowiedzi. Przy téj sposobności mam zaszczyt prosić pana, abyś przy pierwszem widzeniu się z Cesarzem, raczył mu oświadczyć, że zupełnie nie jesteśmy zadowoleni z zarządzającéj miejscową u nas pocztą. Jest bowiem rudą, a więc fałszywą, i mówiąc nigdy nie patrzy w oczy, tylko biega z niemi po wszystkich stronach. To i nie piękne i podejrzane. Moja córka ciemna szatyna z okiem czarnem,spojrzeniem do duszy przemawiającem, zastąpi ją wyśmienicie, z ogólnem wszystkich zadowoleniem. Przytem ma nos grecki świadczący o zamiłowaniu jéj w klasyczności, i szczególne upodobanie w zbieraniu marek pocztowych, najlepiéj przekonywające o jéj usposobieniu naturalnem do tego urzędu. Do zupełnego jednak ukompletowania posiadanego zbioru marek, brakuje jéj jeszcze tysiąc dwustu sztuk, w czem także możesz nam być bardzo pomocnym wymówieniem *jednego słówka* do ministra spraw zagranicznych, aby polecił ambasadorom przy dworach zagranicznych, nadesłanie brakujących według spisu jaki załączam.

Kończąc list proszę jeszcze pana o powiedzenie *jednego słówka* ministrowi oświecenia, aby szkołę z miasta departamentowego przeniósł do naszego, bo jak powiada moja żona, będzie to dla nas dogodniéj, a jéj nie narazi na rozdział z synami szczególniéj przez nią ukochanemi. Jest to troszkę fantazja, ale w kobiecie zasługująca na uwzględnienie.

— I cóż pan powiesz na podobne listy, które jak grad sypią się na mego biednego męża? A jednak coś koniecznie trzeba robić, to też gdy ja wstaję około południa, mąż mój zmordowany czytaniem, wyjeżdża do ministrów w zleconych sobie rozmaitych interesach. Następnie udaje się do izby gdzie zostaje aż do godziny szóstéj, ja zaś przez ten czas wizytuję i wracam do domu około siódméj dopiero. Objadu zatem nie jadamy z sobą, zwłaszcza że mąż na każdy dzień ma jakieś zaproszenie. Wyjątek stanowią tylko dnie w których mówi w izbie; w tenczas bowiem biedaczek zupełnie nie je objadu, a caływieczór przepędza na odczytywaniu sprawozdań stenograficznych i robieniu korrekty. Zwyczajnie dzień kończy o północy, to jest w chwili kiedy ja zaczynam właściwie żyć i bawić się. Nie zajmując się polityką nie jeżdżę z nim razem na urzędowe wizyty, robię tylko wyjątek dla pani Walewskiéj mojéj prezesowéj... tam go widuję czasem a w domu tylko w niedzielę, jakby był studentem na pensji."

Mówiąca skończywszy zwierzenie się, zwiesiła głowę i melancholijnie zapatrzyła się w posadzkę, myśląc zapewne o swéj prezesowéj. Urzędnik zbudowany takiem poświęceniem dla dobra kraju, wyniósł się cichaczem, a ja com widział i słyszał także cichaczem i tajemniczo dzielę się z Wami.

Opowiadano mi tu fakt niezmiernie dramatyczny, ręcząc za jego autentyczność.

W departamencie l'Espoir w Brocou, młody dzierżawca niejaki Jakób Vievemont miał pojąć w małżeństwo pannę Badegondę Degusseau i co ważniejsza z prawdziwéj i to szalonéj miłości. Sprzeciwiań, intryg, plotek, obmów i odradzań było co niemiara, bo kawaler był zamożnym, a panna zupełnie uboga. Jakób jednak zwyciężył wszystkie przeszkody, i młoda para uszczęśliwiona za tydzień miała przystąpić do ołtarza, gdy nagle z niewiadoméj przyczyny, Jakób zachorował i po jednym dniu niemocy umarł. Rozpacz narzeczonéj była niezmierną, na raz jeden stracić wszystko, cały świat, marzeń, nadziei i przyszłości, i do tego po pokonaniu z takim trudem i wytrwaniem tylu przeszkód, było za wiele na jedno kobiece serce. Od żalu wprawdzie nie pękło, ale biedna Badegonda w rozpaczy była straszną, wychudła, zmizerniała a oczy szklanne prawie nieruchome przypuszczały obłąkanie, jakiego ogólnie się lękano. Pogrzebanie więc ciała postanowiono odbyć w największéj tajemnicy, ale wiedziona dziwnym instynktem serca, kiedy trumnę miano zabijać wiekiem, wpadła do kościoła, i ukląkłszy położyła głowę na rękach zmarłego. Boleść tak poważna i szczera z wielkiem uczuciem przez wszystkich była przyjętą. Cisza największa zapanowała w kościele, każdy patrzył na biedną męczennicę, nie śmiejąc poruszyć się, nawet głośniéj odetchnąć, tylko raz po raz wydobywały się ciche łkania, przejmujące dreszczem najbardziéj kamienne serca. Wreszcie starano się odsunąć ją od zwłok narzeczonego, wystawiając konieczność tego i błagając o uspokojenie.

— Moi dobrzy—zwracając się do obecnych odrzekła—nie brońcie mi płaczu. Oczy moje dotąd suche teraz dopiero trysnęły obfitym łez strumieniem. To mi przywraca życie...... nie brońcie mi więc téj cudownéj ulgi.

Kiedy to mówiła, obecni postrzegli że ramię umarłego zadrgało jakby poruszone. Uwaga więc powiększyła się, drgnięcie nowe nastąpiło, zadziwienie ogarnęło wszystkich, rzucono się tłumem do ratunku. W usta przez zaciśnięte zęby wlano cokolwiek wina, młodzieniec po chwili otworzył oczy, odetchnął, serce zaczęło uderzać, słowem przyszedł do zupełnéj przytomności, i zamiast na cmentarz zawieziono go do domu. W krótce przywrócony do zupełnego zdrowia, ma zostać małżonkiem pięknéj Bedagondy, któréj żal i łzy przywołały go z przedsionka tajemniczego życia do ziemi, do rzeczywistości. Radość narzeczonéj któż zdoła opisać? Wy! co kochacie, najlepiéj potraficie to ocenić. W dzisiejszych czasach, zimnego rachunku, to powtórzenie się sceny z Galateą jest prawie nie do uwierzenia.

POGADANKA TYGODNIOWA.

List starego kawalera o którym w przeszłéj pogadance wspomniałem, lawirujący zręcznie pomiędzy chęcią dokuczenia i mnie i Wam wypikowania, ukłócia, a chęcią okazania się wygrzecznionym, wyperfumowanym i wycywilizowanym salonowcem, brzmi w następujących słowach:

Panie Redaktorze!

„Oceniam niezmiernie Wasze poświęcenie z jakiem zawsze występujecie, w obronie płci pięknéj. Rycerska ta posługa zapewne bez uznania i wdzięczności nie pozostanie..... zazdroszczę wam przyszłych laurów. Rola jaką przyjęliście najpiękniejsza w świecie...... bronić niewinność i wdzięk, cóż nadto może być zacniejszego? kobiety nie darmo płcią piękną przezwano..... jako więc przed pięknem uginamy kolana i chylemy harde karki. Cześć im i wieczne uwielbienie!

Oto wyznanie wiary, dla dalszych zatem słów proszę o powolność. Nie jedną już wiosnę przebyłem, skwar lata nieraz dokuczył mi porządnie, jesień znudziła i teraz powiadają ludzie, że zaczynam wchodzić do przybytku zimy, zwącéj się inaczéj starością. Znam więc świat..... i kobiety, może nie umiem nad niemi roztkliwiać się i obsypywać deklamacjami........ ale znam je pewno nie gorzéj od was panie redaktorze. Ale do rzeczy!

Z łatwością sobie pewno przypomniecie, wystąpienie starego kawalera w Kurjerze Codziennym, przeciw nadobnéj połowie rodzaju ludzkiego. W sprawie téj skruszyliście kopią, wykazując jasno jak na dłoni, że panienki nasze to kwiatki z urody i wdzięku, a jagniątka z dobroci i niewinności, my zaś potwory niegodne nawet łyżki wody w któréjby nas utopiono. Nie mam nic przeciw temu, kiedy tak wydrukowano. W prostocie duszy przyznaję wam zupełną słuszność. Proszę jednak o chwilkę cierpliwości.

Jestem człowiekiem dosyć zamożnym, majątek mój czysty wynosi coś około dwóch trzecich części miljona. Nie zbywa mi na niczem, a zarazem na wszystkiem, bo jestem bezżennym. A wiecie jak się to stało?

W ośmnastym roku życia zakochałem się w Maryni córce naszego rządcy, do bicia w piersi, rwania włosów i chęci utopienia się. Równie kochany, widziałem w niéj anioła i przysięgliśmy umrzeć, a nie rozłączyć się. W kwartał potem wyszła za mąż, donosząc, że trafiła się jéj partja dobra, któréj porzucić nie może. Był to krok bardzo rozumny, ale i za bardzo rachunkowy. To zrobiło mnie ostrożniejszym i przez lat pięć następnych serce żyło tylko pamięcią doznanéj zdrady. Potem zakochałem się w Anielce, włosów co prawda nie rwałem, ani piersi pięściami nie tuzowałem, bo już byłem panem własnéj woli i majątku, miałem się już nawet oświadczyć rodzicom i zostać najszczęśliwszym z ludzi, kiedy szczególnym przypadkiem doleciał mnie urywek wyznania Anielci, jakie ze łzami robiła drugiéj panience, któréj brat w pierwszych chwilach cokolwiek mnie niepokoił.

— „Powiedz mu," mówiła zasłaniając oczy chustką— „że nigdy go niezapomnę, przyjaźń w sercu zachowam wieczną, ale on majątku ma niewiele, ja posagu żadnego, a Karol (tojest ja), bogaty. Rodzice życzą sobie..... nie śmiem im sprzeciwiać się."

Było to także rozumnie, ale nadto arytymetycznie. Sparzony po dwa razy, odziałem się w płaszcz zimnéj obojętności i postanowiłem najściślejszą ostrożność i rozwagę. Ale na nieszczęście, szukałem serca łączącego się z mojem, nie dla brzęku złota, ale dla poczciwego uczucia jakiem samo oddychało. Po kilku latach wycieczek zagranicznych, okazałem się znowu na widowni naszego świata. Przyjmowano mnie wszędzie z otwartemi rękami: ojcowie chwalili, matki uwielbiały, ciotki nadskakiwały, bracia fetowali, gdziem się pokazał wszystkie oczy zwracały się ku mnie, wszędzie pierwszeństwo mnie okazywano, wynoszono pod niebiosa, słowem byłem słońcem nadającem wszystkiemu życie i maszynistą zarazem, kręcącym ludźmi jak marjonetkami. Ile w tym czasie uchwyciłem panieńskich spojrzeń strzelistych, ile uśmiechów i westchnień, ile raczków i roztargnień, tego już nawet zliczyć nie potrafię. Miałem jednak tyle rozsądku, że w krótce zrozumiałem, iż te trofea salonowe, więcéj winien byłem moim trzydziestom tysiącom dochodu jak własnéj osobie. Był tam bowiem ładniejszy, przyjemniejszy i mędrszy odemnie, ale ubożuchny młodzieniec, zawsze jednak ja réj wodziłem, a on stał w ostatnich szeregach.

To mnie rozgniewało, chciałem walki spółzawodnictwa, zabiegów, starań, a tu zwycięztwo bez wysileń samo garnęło się do mnie. Grzeczne pół słówko wyrzeczone panience, ściągało na mnie prawdziwe prześladowanie. Zamieszkałem w tym czasie w Warszawie, panienkę więc na którą oko zwróciłem, spotykałem potem wszędzie, z mamą albo ciocią jakby wyśledzono z największą ścisłością, kiedy z domu wychodzę i po jakich włóczę się miejscach. Na ulicy lub w kościele jeszcze pół biedy, zwykle kończyło się wszystko na powitaniu i kilku urwanych słowach, ale ogród Saski stał się prawdziwą plagą, ławki ułatwiały niezmiernie przystanki i rozmowę. Przeniosłem się więc do innych ogrodów, w aleje, nawet pod okopy, ale i tam znaleziono, a co żalów, co wymówek, co spojrzeń znaczących, to byłem pewny, że mnie zanudzą lub spalą.

Ogłosiłem się więc zubożonym bankrutem, sprzedałem nieruchomości, nająłem skromne pomieszkanie i zacząłem polowania na znajomych, zaczepiając o pożyczki. Fortel udał się, a ja spadłem na pół zera i od razu cała powaga moja réj dotychczasowy, pochwały, uwielbienia, nadskoki, przepadły jak kamień w wodę wrzucony. Nie ścigany już spojrzeniami, zacząłem wycieczki do oczek i serduszek panieńskich na własny rachunek, i to szczególniéj tam, gdzie okazywano przedtem życzliwość nadzwyczaj serdeczną. Pukania moje były daremne, pokazały się chmurki, krzywienie buzi, noska, oczków i czasami... szyderstwa jakich przedtem nieznałem. Na ukaranie interesowności, kupiłem kamienicę..... dekoracja w téj chwili odmieniła się, wszystkie serca i ręce wyciągały się ku niéj, naturalnie że nie do mnie, tylko jedna panienka któréj serduszko rzeczywiście chciałem posiąść, zaatakowana powtórnie oświadczyła mi w ręcz, że jestem samolubem, zimnym i dziwakiem, i dla tego choćbym miał sto kamienic a nie jednę, nigdy nie wyjdzie za mnie.

Zostałem więc kawalerem, a kto winien temu? — odpowiedz niezmordowany rycerzu wszystkich róż kolczystych które nazywasz kobietami.

Przyjmij i t. d.

Kto winien? Szanowny korrespondencie! odpowiedziała na to wybornie panienka, któréj słowami zakończyłeś swoje pismo. Serce tylko sercem zdobywa się. Zepsuty brakiem taktu w postępowaniu, zdawało się Wam, że wszystko umie się tylko korzyć przed pękatym waszym workiem. To więc co ulegało téj potędze, braliście za świat cały, zapominając, że prawdziwa piękność serca i duszy, nie lubi zbytecznéj widowni, nie goni, bo czując skarb w sobie, wierzy że skarb podobny przyciągnie do siebie. Takim skarbem nie byliście, pojmowaliście tylko głową jego drogocenną wartość, i szukaliście blisko siebie, co kryło się w cieniu zdala od tłumu w którym tak hardo szastaliście się.

Gdzie więc nie było prawdziwego uczucia, tylko motylowanie, tam w końcu musiało przyjść stare kawalerstwo, czego wam zupełnie nie zazdroszczę, ale ubolewam i szczerze żałuję.

O UBIORACH

Łańcuchy Bénoiton tak przypadły dziś do gustu, że je widziemy wszędzie, na kapeluszach okrągłych i wiązanych pod brodą, na ubiorkach, na paletocikach, i na stanikach u sukien. Wskutek téj panującéj powszechnie mody, fabrykanci zagraniczni przygotowali różne wyroby na letnie suknie, przerabiane lub drukowane także w łańcuchy. W pięknym doborze letnich towarów pana Penkali, uważaliśmy letnią popelinę w rozmaitych kolorach. Na tle zazwyczaj popielatem lub dzikim, przechodzą w podłuż kolorowe pasy jedwabne, a na tych przerabiane białe łańcuchy.

Widzieliśmy w tymże zbiorze ładne muszlinki białe, w pasy złożone z czarnego łańcucha, lub też w wielkie koła kolorowe, idące rzędem w pasy, na tych kołach białe asterki z żółtym środkiem tworzą łańcuch Bénoiton.

Między innemi muszlinkami podobał nam się bardzo biały w marmurek fijołkowy i takiż sam w marmurek seledynowy. Niemniéj ładne muszlinki białe zasiane w drobne punkciki Solferino lub fijołkowe, na tem tle rzucane bukieciki z kłosów, lub małe pagody chińskie w odpowiednich kolorach. Inne muszlinki mają pasy kolorowe jakby powleczone wstawką kluni.

Muszlinki w pasy Tureckie właściwe są na ranne szlafroczki.

Ładne perkaliki francuzkie, najmodniejsze też w pasy fijołkowe, szafirowe lub czarne na tle białem, lub szamoa, na tych pasach odznaczony deseń kluni.

Do strojniejszego ubrania podobała nam się bardzo organtyna biała w paski czarne lub kolorowe w znacznych odstępach. Przy tych pasach idą haftowane drobne kwiateczki włóczką kolorową. Kwiatki posąwe z czarnem przy czarnych paskach bardzo ładnie wyglądają. Dla młodych panienek śliczne takie sukienki w niebieskie paski w muszki niebieskie. Do najmodniejszych należy organtyna w czarne rozległe paski, haftowana w stokrotki czarną włóczką.

Do ubrania na lato zalecamy bardzo ładny wyrób wełniany zwany *fil de chèvre.*

Pékin w szerokie pasy atłasowe, w znacznych od siebie odstępach. Tło bywa zwykle jasno popielate albo białe: pas jeden czarny mat, drugi zaś atłasowy w kolorach szafirowym, zielonym albo solferino.

Widzieliśmy tenże wyrób w szerokie pasy koloru ciemno stalowego, i węższe białe; w środku białych pasów przechodził wązki pasek atłasowy pąsowy. Poważniejszy lecz równie piękny był Pekin stalowy w czarne atłasowe pasy.

Na cokolwiek mniéj strojne suknie podobał nam się takiż wyrób w pasy mat w dwóch odcieniach jednego koloru np. ciemno popielaty z jasno popielatym, szamoa z jasno orzechowym, lub orzechowy z białem. Dla młodszych osób są takież Pekiny, w węższe paski białe z szafirowem, z lilla, z popielatem albo różowem.

Do tańszych wyrobów należy wyrób zwany *fil de chèvre jaspeé*. Na tle jasno popielatem lub szarem, przerabiany jsst ciemniejszy marmurek *chinée*, na to przechodzą wąziuchne atłasowe paski fijołkowe, szafirowe, brązowe lub koloru złotego. Wyborny to wyrób na spódniczkę z takimże samym paletocikiem. Paletocik naszywa się wstążką lub pliską jedwabną, koloru odpowiedniego do pasków. Takież guziki jedwabne lub szmuklerskie dopełniają przybrania.

Jest także ten sam wyrób bez marmurka w paski czarne i kolorowe na przemian: naprzykład czarne i pąsowe, czarne i fijołkowe, czarne i zielone, na tle szamoa lub jasno popielatem. Taki paletocik najwłaściwiéj ubrać pliską czarną, i wypustką koloru pasków. U dołu spódnicy nie bywa garnirunku, całą ozdobę stanowią klapki czarne z wypustką kolorową, służące do podpięcia sukni w festony.

Zalecamy też na spódniczki z paletocikami wyborny wyrób, fular wełniany, w wielkie muchy białe na tle szafirowem albo fijołkowym. Paletocik taki naszyty brzegiem grubą koronką kluny, prawdziwą lub naśladowaną bardzo ładnie wygląda.

Na sukienki dla małych dziewczynek, pan Penkala zakupił wielki zapas wyrobu wełnianego toile de chevre w drobną krateczkę, albo w paseczki, w rozmaitych kolorach. Dla dzieci i dla młodych panienek, sukienka taka lub spódniczka z paletocikiem, bardzo ładnie wygląda, gdyż się wcale nie gniecie. Pletnia wełniana lub wstążeczka w koło paletocika stanowi cały garnirunek. Dajemy tu szczegółowy opis tkaniny. *Toile de chèvre* tło szafirowe biała kratka.

Tło jasno-szafirowe w białe nie szerokie paski.
Toile de chèvre w kostkę szafirową z białem.
Tło białe, kratka podwójna szafirowa.
Tło białe, drobniuchna krateczka szafirowa.
Tło białe, kratka Solferino.
Tło białe, kratka seledynowa.
Tło białe, kratka czarna rozmaitych rozmiarów.
Tło białe, krateczka fijołkowa.

Dla dzieci zalecamy także na paletociki, bardzo ładną flanelkę różową lub w innych kolorach którąśmy widzieli w pięknym doborze towarów pana Penkali. Paletociki takie zdobią się tylko guzikami z konchy perłowéj.

Wymieniemy tu jeszcze ceny niektórych wyrobów na suknie.

Mousse de mer łokieć po kop. 90—*Chamilion* po rs. 1—Alpaga łokieć od kop. 60 do rs. 1 kop. 20—Alpaga w marmurek od kop. 75 do 90—Lenos od kop 45 do 75—Bareż od kop. 25 do 90—Perkal po kop. 45—Muślin od kop. 45 do 60—Żaknot od kopiejek 37 do 45—Sztuczki fularowe na suknie od rs. 27 do 35—Chustki koronkowe Cambray od rs. 15 do 54—Chustki koronkowe Lama od rs. 18 do 50.

ROZMAITOŚCI.

KWIATY I OWOCE.

(Dalszy ciąg.)

Rozdział V.

Ogródek w pokoju.—Na kominie lub na konsoli.—Rośliny cebulkowe w wodzie, i w ziemi inspektowéj.—Kwiaty zimowe.—Etażerka.—Kaktus.—Rośliny tłuste karłowate.—Koszyki zawieszone u sufitu.

Ogródek w pokoju. W zimie szczególniéj, kiedy nie podobna hodować roślin ani za oknem, ani na balkonie, ani w małym ogródku, miło zajmować się niemi w pokoju. Ten rodzaj ogrodnictwa daleko jest trudniejszy, i nie przystępny dla każdego. Mogą tylko zajmować się nim z prawdziwem pożytkiem

osoby, które mało wychodzą z domu, rośliny bowiem potrzebują ciągłego i pilnego starania.

W zimie pokój zamieszkany i opalany, odpowiada temperaturą oranżerji. Wielka jednak zachodzi różnica między oranżerją a pokojem, pod względem dogodności dla roślin. W oranżerji wszystko obliczone wyłącznie na ich korzyść; temperatura zawsze tam jednostajna, powietrze odświeżane według potrzeby za pomocą wentylatorów. W pokoju mieszkalnym warunki te nie istnieją; we dnie bywa tu za gorąco, w nocy bywa za zimno. Nic też dziwnego, że rośliny przeniesione z oranżerji do pokoju, usychają łatwo i niszczeją.

Oczyszczanie roślin. Inny nieprzyjaciel roślin, kurz, nie dosięga ich nigdy w oranżerji, gdy tymczasem w pokoju staje się rzeczywistą ich plagą. Trzeba więc koniecznie, oczyszczać z niego raz lub dwa razy w tydzień liście roślin, pocierając je lekko z wierzchu i pod spodem, gałgankiem zmoczonym w wodzie, lub też wilgotną gąbką.

Przystępując do rzeczy porządkiem, powiemy naprzód jakie kwiaty można hodować na kominku lub etażerce, gdzie nie są wystawione na wielkie światło. Trzeba tu poustawiać doniczki i naczynia szklanne na przemiany. Powtarzamy że ozdobne wazony cynkowe i porcelanowe, nie zastąpią bynajmniéj prostych glinianych doniczek, w których kwiaty najzdrowiéj się utrzymują, w porcelanowych wazonach, można jedynie tylko hodować rośliny cebulkowe, potrzebujące saméj ziemi inspektowéj, bez żadnego przymięszania.

(d. c. n.)

Opis ryciny.

Figura pierwsza. Suknia niebieska z gładkiego fularu, objęta u dołu sznurem białym z czarnem. Nad obrębem tenże sam sznur naszyty w zęby. Pomiędzy zębami przewleczenie ze sznuru. Paletocik rozcięty w pięciu miejscach. Na rozcięciu przechodzi sznur. Mankiety i naramienniki także rozcięte i przybrane sznurem. Zamiast sznuru można użyć wstążeczki, aksamitki lub gipiury białéj, trzeba je tylko podszyć sztywną taśmą, żeby się nie zapadały na rozcięciach paletocika. Kapelusz biały krepowy, przybrany niebieskim aksamitem, albo krepą i perłami białemi. Od główki spadają dwie barby krepowe, spięte na warkoczu kokardą białą niebieską.

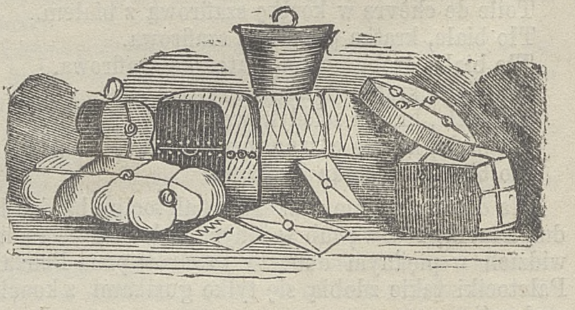
Drugie ubranie. Gabrjela dziko popielata jedwabna, spięta na gęsty rząd srebrnych kwadratowych guzików. Na zszyciu przednich brytów, naszyty sznur czarny. Przy tym sznurze w odstępach dawane rozety (choux) z czarnéj materji wystrzyganéj w maszynie, w środku każdéj rozety srebrny guzik. Przody stanika ubrane odpowiednio, na epolecie naizycie ze sznuru i rozety, na mankiecie także rozeta mnejszych rozmiarów. Kapotka z tiulu czarnego, haftowana lawą, przybrana wstążką różową i takiemiż kwiatkami nad czołem. Łańcuch srebrny Bénoiton zdobi podpięcie, i spada na warkocz.

Ubranie trzecie dla panienki do pierwszéj komunii. Suknia muszlinowa biała. U dołu zakładki przepinane w odstępach haftowanemi klapeczkami. Klapki te obszyte walansienką albo gipiurą kluni. Stanik w zakładki przybrany w drabinkę takiemiż klapkami. Rękawy wązkie, na epolecie i u mankieta odpowiednie pliski i klapki. Pasek z długiemi końcami spięty rozetą; w końcach przyszyta biała frendzla jedwabna. Czepeczek biały illuzjowy. Na to woal z muszlinu lub illuzji.

PRZEPIS KUCHENNY.

Chłodnik.

Włożyć garść kopru do glinianego garnka, młodych liści buraczanych pokrajanych drobno, posolić i razem odgotować w wodzie. Osobno przegotować barszczu lub kwasu ogórkowego, ile potrzeba np. pół garnca przestudzić, dodać smak z kopru, część ugotowanych liści buraczanych, kwartę śmietany wymięszać wszystko i wynieść do piwnicy do zastudzenia. Poprzednio jeszcze włożyć trzeba kilka jaj ugotowanych na twardo, parę ogórków surowych pokrajanych i parę kwaszonych, szyjek i nóżek z raków, cielęciny pokrajanéj w paski lub jesiotra, wreszcie przed podaniem na stół, włożyć parę kawałków lodu.



Pani B. Kurna: Sprawunek odesłany był 19 Kwietnia r. b.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka kolorowana.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(Dodatek).



Gaujean fils imp. r. des Fossés St J. 3. Paris.

A. Carrache

3505

TYGODNIK MÓD

w Warszawie

Dodatek do Nr. 19 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 30 Kwietnia (12 Maja) 1866 r.

PAMIĘTNIK MŁODEJ MĘŻATKI

PRZEZ

WIKTORA CHERBULIEZ

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiéj.

(Dalszy ciąg.)

Weszedłszy do mego pokoju, zobaczyłam w zwierciedle własną postać jakby naprzeciw mnie idącą, i przestraszyłam się swą bladością. Rzuciłam z gniewem na ziemię kapelusz i szpicrutę, i rozdzierając rękawiczkę zawołałam stłumionym głosem. „Witaj nowa i straszna zniewago! ty zdołasz mnie uleczyć; niestety! teraz czuję że kochałam go jeszcze....

Czy przypominasz sobie, czcigodny ojcze, że pewnego wieczora rozmawialiśmy o samych poważnych rzeczach? Wracając z przechadzki usiedliśmy pod drzewem; ja upierałam się przy swojem. „Nie, mój ojcze, mówiłam, nigdy nie poszczycę się cnotą rezygnacyi; mogę powiedzieć nie pochlebiając sobie, że dla kogoś czy czegoś cobym ukochała, byłabym zdolna do najwznioślejszych poświęceń i ofiar; ale rezygnacya, to cnota tych, co, że tak powiem, urodzili się pocieszeni, mnie zaś ani nieszczęście ani niesprawiedliwość nie zdołają dotknąć nie wywołując zarazem okrzyku oburzenia i gniewu“. Przebrałam cierpliwość twoją, czcigodny ojcze: „Skończmy już, rzekłeś mi; otóż owoce wychowania w pośród naczyń greckich, przez ojca który woli czytać Platona niż Pismo św., uwielbiasz cnoty wyrozumowane, a nie umiesz ocenić tych cnót wielkich i świętych, tych boskich szaleństw wytworzonych przez chrystyanizm.... Ale tem się pocieszam że samo życie uczyć cię ich będzie, i w danéj chwili poddasz się próbom na jakie skazać cię może; wtedy zbudzą się zasiane w tem sercu uczucia pobożności i wiary, przypomnisz sobie że jesteś chrześcianką, że Chrystus wstępując na Kalwaryę, zostawił nam wzór jak żyć i umierać mamy....

Niestety! zawiodłeś się, mój ojcze; wybiła mi godzina boleści a głos wiary nie zbudził się w sercu, nie umiałam cierpieć z poddaniem. Ach! gdybym choć była zasłużyła na to nieszczęście! z jakąż radością uczuwałabym się winną! Wspomnienie winy byłoby mnie pogodziło z smutnym losem moim, byłoby uratowało moją wiarę. Ale nic nie miałam sobie do zarzucenia; nie uczyniłam nic czem bym mogła zasłużyć na tak straszne cierpienie; w całem więc przeznaczeniu mojem widziałam tylko bezład i niesłuszność; uważałam się za igraszkę ślepéj jakiejś potęgi, a okrzyk mego oburzenia i gniewu sięgał aż do niebios.

Przypominałam sobie uroczysty obrządek mego ślubu, świetny blask ołtarza który przyjmował i błogosławił naszym przysięgom, kościół, cymborium, kapłana, szczerość moich przyrzeczeń, czystość uczuć, i zdało mi się że religja jest wspólniczką nieszczęścia, że dla tego tylko objawiła mi się w postaci anioła światłości, aby wziąwszy za rękę, poprowadzić w przepaść. I dusza moja oburzała się na taką zdradę. Jakież było słowo téj zagadki? dla kogóż to poświęcano mnie na ofiarę? jakiż Bóg złości cieszył się mojem upokorzeniem, napawał memi łzami? Coraz czarniejsza noc roztaczała się w koło mnie; przerażała mnie tajemnica mego przeznaczenia, gorycz, cierpkość i oschłość zalegly serce, sama rozpoznać go nie mogłam, pożar zmienił go do niepoznania. Wkrótce przekonałam się, że mimo dotychczasowéj mocy nad sobą, nie umiałam już nakazywać moim ruchom i twarzy, że do służących przemawiałam cierpkim i urywanym głosem, z surową i imponującą miną; i nieraz dostrzegałam jak dziwiło ich moje obejście, a moja dobra i wierna Małgorzata patrzyła na mnie z osłupieniem, co chwila powtarzając z cicha *Jezus-Marja!*

Przez kilka tygodni nie wychodziłam wcale, wyjąwszy dla wypełnienia uczynków miłosiernych. Jakże drogo mnie kosztowały te miłosierne odwidziny! ja miałam pocieszać chorych i strapionych!... I cóż mogłam im powiedzieć? chyba to że życie jest przeklęte i że zazdroszczę im ich cierpień. Zresztą nie widywałam nikogo; przerażała mnie sama myśl prowadzenia jakiejś czczéj rozmowy, konieczność udawania i przybierania wesołéj twarzy. Ileż to razy, gorączkowym jakimś miotana niepokojem, co chwila zmieniałam miejsce, nie wiedząc co z sobą robić, gdzie się podziać w tym wielkim i pustym pałacu; i przechodziłam z salonu do buduaru, z tarasu do parku, boleśnie drażniona wszystkiem co mnie otaczało, trawiona chęcią ucieczki, a jednocześnie czując się tak osłabioną iż wiedziałam dobrze że lada chwila padłabym ze znużenia, i że w wielkiem nieszczęściu wszystko jest trudniéj niż cierpieć.

To znowu myślałam sobie że bardzo wiele kobiet bywa zdradzonych, a jednak umieją się pocieszyć. Jedne rzuciły się na łono religji i w modlitwie znalazły pociechę i pokrzepienie, inne szukały ulgi w światowych rozkoszach i uciechach, inne nakoniec, w tych płochych uczuciach tak podobnych do miłości a których czczość i próżność dopiero po wyczerpaniu złudnego wdzięku uczuwać się daje. Ja inne miałam usposobienie; nie posiadałam téj sztuki czy daru uciekania, że tak powiem, sama przed sobą, i oszukiwa-

nia oszukującego nas losu; zbyt skoncentrowana, zbyt poważna, dusza moja ciążyła nad swem przeznaczeniem i zagłębiała się w boleści; i czegóż mogłam spodziewać się od przyszłości?..... Omamiona błędem, oddałam się w zupełności nic nie zostawiając sobie, i ten błąd jednodniowy pochłonął całe moje życie.

Nie mogłam jednak taić przed sobą że prędzéj czy późniéj muszę powziąść jakieś stanowcze postanowienie; nieszczęście bez godności, to byłoby już nad siły moje. Max pozwolił sobie pominąć najprostsze nawet obowiązki grzeczności, odjechał tak nagle, nie uprzedziwszy mnie, nie pożegnawszy się nawet, nie zawiadamiejąc ani słówkiem czy kiedykolwiek powróci, do mnie więc należało postanowić co mi czynić wypada. Czekałam chwili natchnienia które nie przychodziło jakoś, a jednocześnie trwiła mnie potrzeba ruchu, otrząśnienia się z odrętwiałości i odzyskania nieco swobody umysłu, bo czułam wyraźnie że w tych wieczystych, samotnych marzeniach tępieją wszystkie moje władze duszy i umysłu, że zmartwienia te doprowadzą mnie nareszcie do zniedołężnienia.

Zaczęłam więc wyjeżdżać trochę, ale nie konno, gdyż obecnie nie miałam do tego ani upodobania ani siły, ale w powozie, co dozwalało mi zmieniać miejsca wcale nie myśląc o tem. Pewnego dnia kazałam się zawieść do Chamaret. Pani d'Estrel ciągle tak mocno była cierpiąca że wcale nie wychodziła z domu; pisała do mnie kilkakrotnie, ale żadnéj nie dałam odpowiedzi; zobaczywszy mnie wydała okrzyk podziwienia.

Mój Boże! jakżeś ty zmieniona, zawołała.

Usiadłam na małym stołeczku i położyłam głowę na jéj kolanach; pozostałam tak z godzinę. Marzyłam; zdało mi się że głowa moja spoczęła na kolanach méj matki, i nic nie mówiąc, myślą mówiłam swéj staréj przyjaciółce wszystko coby się mówiło matce; kilkakrotnie probowała mnie pocieszać, ale ręką zatykałam jéj usta. O! dozwól mi marzyć! mówiłam; nic mi nie mów, bo każde słówko rozdraźni bolesną ranę.

Powróciwszy, zastałem w Lestang niespodziewanego gościa; był nim p. de Malombré! Daramnie Małgorzata chciała go odprawić, uwziął się czekać na mnie. Najpierw miałam myśl nie przyjąć go, ale po chwili, zdjęła mnie ciekawość co może mieć do powiedzenia. Zobaczywszy mnie wchodzącą, nie wiem czy udał czy rzeczywiście silne ogarnęło go wzruszenie; może powątpiewanie to jest niesłusznem, ale wszystko w téj dziwnéj figurze wydawało mi się sztucznem; rzecz niezawodna że chód marowy i sztywne ruchy czyniły go podobniejszym do drewnianéj lalki niźli do człowieka. Mogę ręczyć że nikt pewnie nie widział straszniejszéj marionetki; ubrany czarno od stóp do głów, wyglądał tego wieczora jak dezerter z katafelka, a mówił tak prędko i bezładnie, iż mogłam myśleć że postradał zmysły.

— Odjechała! pani, pani, ona odjechała, wołał. Miałem już jéj zezwolenie; kontrakt był sporządzony, brakło tylko podpisów; przybywam do niéj, i po raz drugi znajduję tylko próżną klatkę, lecz gdzież uleciał ptaszek?...

I zaczął dowodzić mi że ta ostatnia zniewaga wróciła go nareszcie samemu sobie, że potargał krępujące go więzy, i że odtąd przestanie już być igraszką zalotnicy bez serca i sumienia. Dowodzenie to tak długo trwało, że nareszcie zaczęłam okazywać swoją niecierpliwość, zamilkł. Rzuciwszy nań okiem postrzegłam że oczy jego wlepione były we mnie, a wkrótce żywa czerwoność wystąpiła mu na twarz i czoło. W umyśle jego powstała myśl zuchwała, którą wywołał może mój smutek i roztargnienia; nagle upadł przedemną na kolana, i zawołał z głośnem westchnieniem: Pani, zemścijmy się!... Wstałam i zadzwoniłam; zrozumiał i powstał spoglądając na mnie z wyrzutem. Weszła Małgorzata: Poświć panu de Malombré, rzekłam.

Śmieszna ta scena rozdrażniła mnie do najwyższego stopnia, widziałam w tem wyraźne szyderstwo losu. Otóż to zemsta i zadośćuczynienie jakie mi los przedstawia! pomyślałam.

Dzień następny był bez zaprzeczenia jednym z tych w których szaleństwo najbliżéj zajrzało mi w oczy. Rano bardzo, kazałam zawieść się do Donzére, tam wsiadłam na koléj idąca wzdłuż Rodanu, i wysiadłam na stacji obok Viviers, tego ślicznego i dziwnego zarazem miasta, które przez swe wązkie i kręte uliczki, stare, pochylające się domy, i nagie wzgórza łagodzone pięknym błękitem nieba, jest, mówią całkiem podobne do jakiegoś miasta Syrji, przeniesionego cudem nad brzegi francuzkiéj rzeki. Minęłam most błądząc w labirencie ciemnych uliczek; zdawało mi się że lada chwila jakieś odkrycie lub niespodziewane spotkanie, zbudzi w umyśle moim zbawczą iskrę, mającą wskazać mi drogę życia. Nareszcie doszłam do katedry i przestąpiłam jéj progi; usiadłam w głębi nawy i siedziałam tak długo nieruchoma, przyglądając się bezmyślnem okiem bogatym kobiercom, pięknym dębowym stalom i łukom sklepienia, ale ani jedna modlitwa, ani jedno westchnienie nie uleciało z duszy przed tron Przedwiecznego; już zapomniałam się modlić... zadawałam różne pytania samotności i milczeniu i daremnie domagałam się odpowiedzi.

Przed katedrą roztacza się piękny taras zasadzony drzewami, ciągnący się aż do brzegów prostopadłéj skały, na któréj wznosi się Viviers; taras ten otoczony jest balustradą, i przedstawia nadzwyczaj rozległy widok. Wyszłam z kościoła i nie widząc nikogo w koło siebie, poszłam oprzeć się o balustradę. Między skałą a Rodanem rozciąga się duże przedmieście. Z wysokości na któréj stałam, widać było mchem porosłe dachy, drewniane balkony, podcienia, podwórza, mimo późnéj jesieni czas był tak piękny że kobiety pracowały na dworze, siedząc gromadkami przed domami; słyszałam krzyki, śpiewy śmiechy, dolatające mnie zdala i mieszające się z głuchym szmerem rzeki. Naprzeciwko była szkółka, wybiła godzina rekracji, dzieci wyroiły się przed dom, a stary bakałarz z siwą głową patrzył na nie z okna, powstrzymując czasami zbytnie wybryki swawoli. Nieco opodal stał gołębnik, i co chwila wylatywały z niego stada gołębi, dążąc na wybrzeża Rodanu zaspokoić swe pragnienie, a potem, różne w powietrzu zataczając koła, wracały do gołębnika.

Te i tym podobne całkiem obojętne szczegóły, rozdzierały mi serce tą właśnie obojętnością swoją. Czemże byłam dla świata? czemże świat był dla mnie? Czułam się jakby wyłączoną ze społeczności rzeczy i ludzi; wszystko szło, ruszało się, żyło, ja gubiłam się w tym wielkim wirze istot, a serce gorzko cier-

piało nad swym smutkiem i osamotnieniem. Nie potrafię opisać ci, czcigodny ojcze, strasznéj, tłoczącéj mnie wówczas boleści. Pochylona nad balustradą, patrzyłam już tylko na chwasty i zielsko rosnące w załomach skały. Kruk przeleciał krakając po nad moją głową, przechyliłam się więcéj, zobaczyłam przepaść i próżnię, i zawrót mnie ogarnął. Uczucie to wydawało mi się tak rozkosznem, że poddawałam mu się chętnie; coraz więcéj kołowało mi się w głowie, przechylałam się coraz więcéj, aż w tem uczułam, że mnie ktoś mocno pociągnął za suknię: odwróciłam głowę i ujrzałam przed sobą siwowłosego, pełnego dostojnéj godności kapłana, grubą laską podtrzymującego swe chwiejące kroki.— Uważaj pani, przestraszyłaś mnie mocno, rzekł mi z łagodnym uśmiechem. Po chwili spojrzał na mnie uważniéj.— Czy pani słabo zapytał z ojcowską dobrocią, i wziąwszy mnie za rękę, przyprowadził i posadził na ławce.

Chwilę patrzyłam na niego w milczeniu.— Co robić aby się nauczyć rezygnacyi? zapytałam nagle.

— Myśleć o Bogu, odpowiedział zdziwiony.

— Bóg tak wysoko i daleko.

— Od nas tylko zależy by zamieszkał w naszem sercu, i nigdy nie jest głuchym gdy gorąca wiara wzywa go i bada.

— Pytam i słucham, jednak nic nie słyszę, odpowiedziałam sucho.

Spojrzał na mnie z głęboką litością, a po chwili rzekł:

— Musiały panią dotknąć wielkie nieszczęścia.

Nic nie odpowiedziałam.

— Mój Boże, rzekł, nie zapominaj pani, że życie nasze jest tylko chwilką, po któréj czeka nas szczęśliwa wieczność.

— Smutne położenie nasze, i smutna pociecha, odpowiedziałam. Szczęśliwa wieczność! ależ wieczność ta jest niezbadaną tajemnicą, a nieszczęście rzeczywiste i jawne.

— Taka jest wola Boża, odpowiedział poważnie; i powinniśmy poddać się jéj ślepo, i przyjmować z pokorą próby i doświadczenia jakie na nas zseła, lub lękać się strasznego Jego sądu....

— Niczego i nikogo się nie boję, zawołałam z taką gwałtownością i zuchwalstwem, że po dziś dzień na samo wspomnienie téj chwili, rumieniec wstydu pokrywa mi czoło.

Cofnął się przerażony i przybierając surową postawę, rzekł mi mocnym głosem:

— Mylisz się pani bardzo, boisz się cierpienia, i dla tego przed chwilą szukałaś śmierci. W ludzkiéj mowie, postępek taki zwie się nikczemnością.

Uspokoiłam się w jednéj chwili.— Ach! zawołałam, dzięki ci, mój ojcze, te słowa twoje dodadzą mi siły!

I chwytając go za rękę wychudłą z wieku i cierpienia, pocałowałam ją z uszanowaniem i oddaliłam się śpiesznie. Wołał na mnie, chciał iść za mną, ale podwoiłam kroku i prędko zeszłam z tarasu.

Przechodząc koło jakiegoś sklepu, zobaczyłam siedzącą przy wejściu kobietę, trzymającą na kolanach piękne trzechletnie dziecię. Zatrzymałam się i chciwie utkwiłam wzrok w jasnéj główce dziecięcia; widok jego zbudził w méj duszy nieokreślone marzenia; zbliżyłam się i zaczęłam całować tak gwałtownie, że przerażone dziecię, wydzierało mi się z krzykiem. Wtedy wsunęłam mu w rączkę nową, świecącą sztukę złota, a zachwycone jéj blaskiem, zaczęło rozkosznie uśmiechać się do mnie.

— O! takie uśmiechy, rzekłam do matki, budzą Boga w sercu kobiety.

Słońce zbliżało się ku zachodowi, zwróciłam się więc ku stacyi. Wszedłszy na most zatrzymałam się na środku i raz jeszcze spojrzałam w około. Piękność przedstawiającego mi się krajobrazu, nie przepartym ku sobie ciągnęła urokiem. Słońce już zaszło a maurytańskie wieżyce katedry rysowały swe wyniosłe szczyty, na jasno perłowem, jakby złotem i rubinami posypanem niebie; wielkie i majestatyczne wody rzeki odbijały w swem przezroczu złoto, purpurę i tysiące różnobarwnych odcieni, a ogołocone z liści topole i brzozy, stały milczące i nieruchome, przypatrując się spokojnym falom, i roztaczając na ich brzegach jakąś świetlaną tajemniczość. Zwolna księżyc zaczął ukazywać się na niebios przestrzeni, rozlewając w około swe łagodne światło.

Urocza piękność tego wieczora wzruszyła mnie głęboko, gorzkie łzy popłynęły z oczu. Zdawało się, że życie, jakby na przekor roztaczało przedemną swe skarby nie dozwalając ich dotknąć, i porównywałam się do żebraczki siedzącéj pod drzwiami pałacu: wewnątrz świetna odbywa się uczta, wystawia sobie jej przepych, słyszy radośne okrzyki i spogląda na swą żebraczą torbę. I jednocześnie stanie jéj na myśli nędzna, ciemna lepianka do któréj za chwilę wróci, i mimo czarnéj ciemności, znajdzie i pozna od razu dwóch zwyczajnych gości nie opuszczających zgasłego jéj ogniska—głód i zimno..... Wsparłam się o balustradę i długo tak stałam wpatrując się w płynących wód fale, a z ich łona dochodził mnie jakiś głos zachęcający do wiecznego spoczynku i zapomnienia; ale wspomniałam na świętobliwego siwowłosego kapłana i na ostatnie słowa jego, i odwróciwszy głowę, poszłam zwolna w swoją drogę.

Znowu wsiadłam na kolej i zatrzymałam się w Donzére, gdzie służba w wielkim oczekiwała mnie niepokoju. Sama nie wiedząc co zrobię, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę ich w życiu, żadnych nie zostawiłam rozkazów; mimo to czekali mnie ciągle, a zobaczywszy szczerą okazali radość. Zdziwiło mnie to nie pomału; więc nie dla wszystkich jeszcze byłam obojętna!

Późno wróciłam do Lestang, gdzie zastałam list od pani d'Estrel.

„Kochana Izabello, pisała mi, wczoraj byłaś tak smutną i zmienioną, że mocno jestem o ciebie niespokojna; błagam cię nie na wszystko, nie poddawaj się tak boleści. Silne dusze nie raz przeciw sobie samym zwracają swą siłę; uważając, że tylko wielka boleść może być ich godną, z tajemnem jakiemś upodobaniem podsycają ją i drażnią. Zabroniłaś mi przemawiać do ciebie słowami pociechy, będę ci posłuszną; ale pozwól powiedzieć sobie, że obecne położenie twoje jest tylko przechodniem; przeczuwam, jestem przekonana, że nadejdzie chwila, w któréj przyjdzie ci ciężkie staczać walki, z wielkiemi walczyć niebezpieczeństwy. Na tę więc straszną chwilę troskliwie zachowaj swe siły; nie marnuj ich szalenie na podniecanie burzy w sercu twojem, zostaw je w spokoju, nie dręcz, nie zwiększaj cierpień i bólu, których mu już sam los tak szczodrą udzielił dłonią.

„Wierzaj mi, kochane dziecię, czas to ma w sobie dobrego, że upływa i mija bez naszéj pomocy. Słońce wschodzi i zachodzi, dzień jeden nie podobny drugiemu. Proszę cię na wszystko przyjedź do mnie jutro po południu, mam wielką do ciebie prośbę, a nadto chcę dać ci poznać człowieka, może równie jak ty nieszczęśliwego, chociaż na pozór nie ma żadnego powodu do smutku, i na nikogo uskarżać się nie może. Dobrze jest jeśli w cierpieniu widzimy innych nieszczęśliwych; patrząc na ich mówimy sobie, że nie stanowimy wyjątku, że wspólnym podlegamy prawom, i jeśli nie pocieszamy, uspakajamy się przynajmniéj.“

Pani d'Elster, była to przezorność uosobiona, a jednak jakże wielką popełniła nieroztropność, pisząc list ten do mnie....

CZĘŚĆ CZWARTA.

XV.

Przybyłam do Chamaret około drugiéj godziny: pani d' Estrel podziękowała mi serdecznie, za tak śpieszne spełnienie jéj życzenia.

— Czyż mogłam się ociągać? rzekłam całując ją, skoro wiem, że mnie potrzebujesz. Zresztą, chciałabym abyś pani żądała odemnie czegoś trudnego do wykonania możeby mnie to trochę zajęło i rozerwało.... ach! gdyby to mogło ściągnąć na mnie jakie niebezpieczeństwo, z jakąż radością naraziłabym sie na nie!

— O! rzekła z uśmieczem, nie wymagam, abyś dla méj miłości niosła życie w ofierze, dość będzie jeśli poświęcisz trochę czasu, i dobrowolnie skażesz się na nudy; siadaj więc i staraj się słuchać mnie z uwagą:

„Mąż mój, w czasie swego pobytu w Anglji, poznał pana Dolfin, botego kupca z Korfu, pochodzącego z starożytnéj weneckiéj rodziny, już oddawna osiadłéj na wyspach Jońskich. Późniéj, kiedy interesa zmusiły pana Dolfin udać się do Prowancyi, zboczył do Chamaret, i wraz z żoną zatrzymał się u nas przez kilka dni. Wkrótce potem zakończył życie, pozostawiając jedynego syna, któremu za przewodnika i nauczyciela wybrał duchownego francuzkiego księdza Néraud. Nierozważny ten nauczyciel z oschłem sercem i rozbujałą wyobraźnią, przesycił mistycyzmem umysł swego wychowańca. W końcu, wzrastająca co raz egzaltacja i przesadzona skrupulatność młodego Arsena Dolfin, zaczęła niepokoić matkę; lubował się w umartwieniach, wyszukanéj surowości, we wszelkich subtelnościach pobożności, które jak kiedyś słusznie powiedziałaś, można nazwać „łakociami sumienia, któremi równie łatwo go przesycić, jak żołądek słodyczami.“

Nakoniec i sam nauczyciel dostrzegł że usiłowania jego zanadto się powiodły; jak widać gorliwość jego powstrzymywał poniekąd ten zdrowy rozsądek właściwy Francuzom, któremu tak są wstrętne wszelkie ostateczności, że nawet w chwilach szału nie odstępuje nas zupełnie: Francuz choćby z wieży skoczył, upadnie na nogi. Mentor nasz przestraszony przesadzoną gorliwością swego Telemaka, coraz więcéj się w nim rozwijającą, doradził matce, aby mu rozkazała odbyć podróż po Europie. Wyjechał z nim razem, towarzyszył mu wszędzie i wszelkiemi sposobami starał się przygasić pożar który sam rozniecił, i sprowadzić młodego ascetę na drogę umiarkowania, dozwalającego pogodzić gorliwość religijną z życiem w pośród ludzi; jednak ani pobyt w wielkich miastach, ani stosunki z ludźmi, ani nakoniec przygody pięcioletniéj podróży, nie przyniosły pożądanego skutku. Młody Arsen pozostał nieczułym na powaby świata i uwagi swego nauczyciela; wszystko co widział drażniło go boleśnie i pewiększało jeszcze wewnętrzny niepokój; czuł się, jak mówił, wygnańcem, tęsknił do swéj ojczyzny, lecz ojczyzną tą nie były skały Itaki. Zwiedziwszy Włochy, Niemcy, Szwecyę przybył do Paryża i tam to właśnie przechadzając się po bulwarże Włoskim, powziął zamiar wstąpienia do Trapistów; przez kilka miesięcy ukrywał swe postanowienie, w końcu oznajmił je księdzu Néraud' ten, przerażony nie szczędził uwag, próśb i napomnień, lecz napróżno, nie potrafił wzruszyć ani przekonać. Dziecię wyrosło na człowieka; nauczyciel był już tylko towarzyszem, powiernikiem, utracił dawną przewagę, roztrząsano jego słowa, przypominano mu dawniejsze nauki i wykazywano ich sprzeczność z teraźniejszemi; wszelkie nowe dowody i rozumowania upadały zwyciężane logiką właściwą sercom prostym i szczerym, niezależną od zmiany okoliczności, logiką opierającą się na przekonaniu i przez to właśnie niweczącą najzręczniejsze wybiegi.

Kiedy już wszelkie perswazje okazały się bezskutecznemi, ksiądz Néraud zobowiązał się uwiadomić panią Dolfin o postanowieniu syna i otrzymać jéj zezwolenie; w tym celu wyjechał do Korfu. Ze swéj strony, Arsen zezwalał na kilka miesięcy zwłoki, i czas ten postanowił przepędzić w okolicach d'Aiguebelle. Wiadość o zamiarach syna boleśnie dotknęła panią Dolfin, nie mogła pogodzić się z tą myślą; w listach swych starała się dowieść mu że chce popełnić szaleństwo, przedstawiała, jakie szczęście oczekuje go w Korfu, wystawiała słodycze małżeńskiego pożycia, wdzięki młodéj dziewicy, którą mu już oddawna przeznaczała na żonę; zwracała jego uwagę, że nie powinien zapominać o tem co winien swéj rodzinie i samemu sobie. W cóż się obrócą bogactwa tak mozolnie nagromadzone przez jego przodków? czyż oni nie poruszą się w grobie, jeśli je wrzuci do szkatuły zakonnéj?

— Łatwo pojąć, mówiła daléj, że tak światowe powody nie wywarły żadnego wpływuc; cóż znaczą interesa doczesne dla człowieka marzągo tylko o wieczności? Pani Dolfin przypomniała sobie że mieszkam w tych stronach, i parę dni temu odebrałam od niéj list, w którym opisuje mi swoje zmartwienie i zaklina abym jéj nie odmawiała pomocy.

(d. c. n.)
